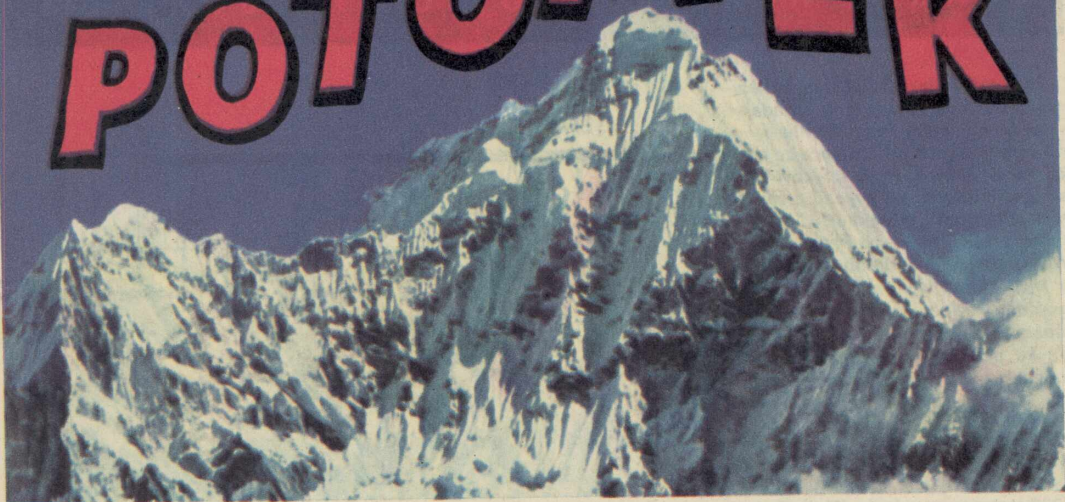


# POTOMEK



Napisał: Michał Fotyma

Lekkie powiewy wiatru szarpały rozłożoną gazetę, przeszkadzały w lekturze. Wincenty Petyś złożył ją więc na tyle, aby móc przeczytać kolejny odcinek powieści. Był on tak interesujący, że Wincenty, czytając, zapomniał o całym świecie. Oczyma wyobraźni widział dzielnego detektywa, rozprawiającego się z gromadą bandytów.

– Wicuş, chodź na obiad! – rozległo się od domu.

Obraz detektywa z dymiącym pistoletem w ręce rozwiął się, ale perspektywa obiadu także była interesująca.

– Idę, skarbie!

Obiad był smaczny, toteż Wincenty, wracając do stolika w ogrodzie, był w błogim nastroju. Gazeta leżała tam, gdzie ją zostawił – na środku stolika, widział ją doskonale.

Na alejkę wyszedł duży, czarny kot, popatrzył na gospodarza, wyprężył ogon. Wincenty przykucnął, pogłaskał go. Kot zamruczał, otarł się o jego nogę raz i drugi i, zadowolony, powędrował dalej.

Stolik stał jak poprzednio, nic się nie zmieniło, tylko gazeta znikła.

– Przecież była tu... widziałem. Spadła? Nie, nie ma. Starzeję się czy co? Była tu ta zaraza, była – i nie ma. A może jej wcale nie było?...

★

Przewodniczący wstał.

– Pozwólcie, koledzy, że podsumuję dyskusję, jako że powiedziano już wszystko, co było do powiedzenia. Otóż zasadnicze koncepcje sięgnięcia w przeszłość poprzez określone, lokalne zwichrowanie czasoprzestrzeni, opracowane przez obydwa zespoły badawcze – to właściwie jedna i ta sama koncepcja, jeżeli chodzi o założenia. Czy tak?

Szmer potakiwań przebiegł przez salę.

– Jest to oczywiste, ponieważ podstawowy zbiór równań czasoprzestrzeni jest tylko jeden. Tak więc mamy jedną koncepcję i dwa zupełnie różne sposoby jej realizacji. Przewidywane wyniki są zbliżone, otrzymuje się to, o co nam chodzi. Ważne jest także to, że w obydwu przypadkach potrzebna jest bardzo znaczna energia, tak znaczna, że nie jest to obojętne ekonomicznie i ekologicznie. Przypuszczam, że otrzymamy ją, ale nie dla obydwóch metod, lecz dla jednej. Ilość energii tu i tam jest zbliżona, efekty – jak już wspomniałem – także zbliżone. A więc którą z metod wybierzemy? Proszę, zastanówcie się nad tym.

Rozgorzała ostra dyskusja. Oczywiście, każdy chwalił metodę, nad którą pracował,



wykazując jej zalety, a skromnie przemilczając wady. Trwało to długo i nie dawało rezultatu, przewodniczący więc przerwał dyskusję.

– Koledzy, powtarzacie się. Nie możecie dojść do zgody, przeto coś wam proponuję: zacznijmy od drugiej metody, opracowanej przez zespół quintdoktora Rylera. Nie dlatego, aby zespół quintdoktora Zajęca opracował gorszą, nie! Dlatego jedynie, że w Himalajach mamy do dyspozycji starą górską stację tektoniki, nazywaną niekiedy „pracownią diabła”. Byłem tam niedawno i obejrzałem istniejące wyposażenie. Jest, jak się zdaje, w dobrym stanie i po odpowiedniej przebudowie nada się do drugiej metody; gdybyśmy natomiast zaczęli od metody pierwszej, musielibyśmy wszystko budować od nowa, z niczego. Oczywiście, zrobimy to, jeżeli będzie trzeba, jeżeli druga metoda okaże się niewłaściwa...

★

Gwizd łopat cichł, śmigłowce kolejno siadały na lotnisku. Członkowie grupy rozpoznawczej rozbiegli się po opuszczonej stacji. Każdy znał swoje zadanie. Zresztą lodowaty, ostry wiatr nie zachęcał do pozostawiania pod gołym niebem.

Kierownik grupy, doktor Ryler, z dwoma pomocnikami podjął się najważniejszego zadania – sprawdzenia „serca stacji”, skrytego w podziemiu gigantycznego toroidu nadprzewodnikowego, mającego zmagazynować energię potrzebną dla doświadczenia. Oświetlenie awaryjne działało, można więc było przeprowadzić inspekcję. Wypadła zadowalająco – w podziemiu panował wzorowy porządek, aparatura kontrolna działała. Toroid znajdował się w stanie normalnej oporności, wszystkie możliwe do zmierzenia parametry były w normie. Oczywiście, nie dawało to pewności, jak zachowa się w stanie nadprzewodzenia, ale tego na razie nie było można sprawdzić. Zregenerowanie ekranów próżniowych i wychłodzenie toroidu do temperatury pracy, to znaczy do około dwudziestu stopni nad zerem bezwzględnym, wymagało uruchomienia stacji pomp, skraplarek helu i azotu, a potem – najmniej pięciu, może więcej tygodni pracy.

Ale to czekało ich w przyszłości, na razie wyniki inspekcji były pozytywne. Opuścili więc podziemie i udali się do mieszkalnych pomieszczeń stacji.

Inni członkowie grupy także kończyli swe prace i schodzili się po kilku. Wyniki lustracji były pomyślne, większość potrzebnych urządzeń działała lub nadawała się do uruchomienia.

Radiostacja była czynna, więc Ryler połączył się z przewodniczącym Rady Naukowej i opisał, co zastali.

– Zostajemy tu i przygotowujemy stację do uruchomienia – kończył meldunek. – Potrzebujemy jak najprędzej żywności i zasilania w energię. Prócz tego trochę nas za mało.

– Żywność dostaniecie, następna grupa już się szykuje do drogi. Z zasilaniem gorzej, linia jest uszkodzona i wymaga remontu, musicie wytrzymać jakiś czas.

– Wytrzymamy. Pracy nie brakuje i dobrze, że tak jest. Otoczenie jest tu raczej... niewesołe. Wiatr wyje, jest bardzo zimno, ponuro i pusto wokół, ani żywej duszy.

– Okolica musi być bezludna, tego wymaga doświadczenie.

– To prawda.

Żywność dostarczono na stację następnego dnia, a w kilka dni potem zjawiała się tam następna grupa badawcza pod wodzą doktora Zajęca. Ryler ucieszył się widząc go, albowiem lubili się bardzo, mimo że często różnili się w poglądach.

– Miło mi, że jesteś, Zen! Wytrzymasz ze mną?

– Chyba tak. Ustrzegę cię, Wit, być może od błędów, po to tu jestem.

– To ja popełniam błędy?

– Jeszcze jakie! Cała twoja metoda to jeden wielki błąd.

– I mimo to chcesz brać udział w tym eksperymencie?

– A chcę! Żebyś się przekonał, jakie głupstwo wymyśliłeś.

– Niech i tak ci będzie. Ale na razie chodźmy na śniadanie.

★



Nowo przybyli wkrótce przyłączyli się do pracy, wzmocnili istniejące już zespoły i utworzyli kilka nowych.

Ryler i Zajac zabrali się do ostatecznego wykończenia projektu przetworników antypola, mających służyć do zwichrowania czasoprzestrzeni. Projekt był już od dawna opracowany, brakowało jednak danych, które można było otrzymać dopiero na miejscu, zależnie od parametrów zasilania i usytuowania przestrzennego.

\*

Po kilku dniach znaleziono i usunięto uszkodzenie kabla. Strumień energii popłynął do stacji. W znakomity sposób poprawiło to humory, wszyscy dotąd nieco marzli, a teraz zrobiło się wszędzie ciepło.

Ryler i Zajac wykończyli plany przetworników i przekazali je przez radio do bazy u podnóża gór. Wykonaniem miał się zająć kto inny. Czekają ich jeszcze wychłodzenie toroidu. Zespoły pomp były sprawne, szybko zregenerowano próżniowy płaszcz toroidu i próżnię wewnętrzną; teraz należało go wychłodzić, wpraw do temperatury ciekłego azotu, potem helu. Azot i hel mieli w butlach, skroplenie też nie stanowiło problemu. Potrzebna była jeszcze cierpliwość – powolne, równomierne wychłodzenie tak olbrzymiej masy musiało trwać wiele tygodni. Płynny azot, trafiając do wnętrza ekranu cieplnego, parował natychmiast i wracał do skraplarki. Ale jednocześnie zabierał ze sobą kalorię po kalorii, chłodząc toroid.

Po dwóch tygodniach azot przestał wrzeć, wypełnił całą przestrzeń pomiędzy dwiema próżniami. Wtedy rozpoczęło się chłodzenie samego toroidu helem, jeszcze wolniejsze i ostrożniejsze. Inne zespoły kończyły pracę, moment uruchomienia stacji zbliżał się z każdym dniem. Został montaż przetworników, jeżeli toroid okazałby się sprawny, jak przewidywano.

Chłodzenie ciągle trwało. Wreszcie nadzedł ten wielki dzień: toroid osiągnął temperaturę krytyczną, oporność spadła do wartości

niemierzalnie małej. Jeszcze tydzień chłodzenia i osiągnięto temperaturę roboczą.

Obaj szefowie grup sami wykonali niezbędne pomiary i wiele innych, niezupełnie koniecznych. Zmierzone wartości były w normie.

– Cóż, Zen, chyba wszystko w porządku? – Ryler otarł czoło z potu.

– Tak to wygląda – zgodził się Zajac. – Co robimy dalej?

– Ano, warto by dać mu choćby ćwierć energii, na próbę.

– A pozwolą?

– Nie wiem, może pozwolą. Jeżeli toroid w porządku, to ją przecież zwrócimy. Ale całej nie dadzą na pewno. Dopiero do właściwego doświadczenia.

– Zapytasz?

– Muszę. Przy okazji spytam, co z przetwornikami.

Odpowiedź na obydwa pytania była pomyślna. Przewodniczący uzyskał zezwolenie na pobranie potrzebnej energii i zawiadomił, że budowa przetworników już się kończy. Obiecał też dostawę kilku automatów budowlanych dla postawienia fundamentów pod przetworniki. Bądź co bądź, były to konstrukcje wysokości około 200 metrów, więc ważyły także niemało, mimo ażurowych szkieletów.

Niebawem ciężki helikopter dostarczył kilka automatów. Intellektonicy przekazali im program, potem otwarto bramę, stalowe stwory powędrowały kilka kilometrów na południowy wschód i w wyznaczonych miejscach wgrzyły się w skały. Ze stacji obserwowano postępek prac na ekranach telewizyjnych, poprzez „oczy” automatów.

Tymczasem toroid ładował się energią. Zgodnie z zaleceniami przebiegało to powoli, cały proces był bacznie śledzony i kontrolowany. Odchyłeń od normy nie było.

Automaty, wrywszy w skałę odpowiednie wydrążenia, ustawiły w nich zakotwienia i zalały całość betonem, przystosowanym do skrzepnięcia w niskiej temperaturze. Teraz należało odczekać kilka dni, a potem można było zamocować przetworniki.

– Tak trzymać! – zawołał Ryler do mikrofonu.



– Rozumiem, tak trzymać – padła odpowiedź pilota. Czasza przetwornika zawisa tuż nad kotwicą, zabetonowaną w fundamencie. Automat chwycił skraj czaszy, wolno naprowadził śrubę nad otwór. Szczęknięcie – ogromna śruba opadła w swe gniazdo. Drugi automat założył drugą śrubę, potem trzecią i czwartą. Czasza chwiała się lekko – wiatr był słaby, ale wystarczał, aby helikopter z podwieszoną czaszą nie mógł zupełnie znieruchomieć, mimo automatycznego sterowania.

Automaty przykręciły śruby do oporu i odstąpiły. Ryler uniósł mikrofon.

– Puścić linę!

– Rzucam – odpowiedział pilot.

Ciężka stalowa lina zsunęła się po przetworniku i z łomotem upadła na skały.

– Jak poszło? – zapytał pilot.

– W porządku, przetwornik stoi. Odciągi założymy już sami.

– To ja lecę. Jutro przywiozę drugi taki talerzyk. Do jutra!

– Będziemy czekać. Do jutra!

Helikopter odleciał, ucichł przeraźliwy szum łopat i ryk silnika.

Założenie odciągów poszło gładko. Potem automaty naciągnęły je, aż wyprężyły się niby struny.

Ryler machnął ręką:

– Koniec, wracamy!

Wszyscy ruszyli do stacji. Na końcu człapały automaty. Na szczycie został przetwornik, podobny z dala do ażurowego, płaskiego kosa, ustawionego do góry dnem na swym obrzeżu.

– Ładnie poszło, Wit. Dobra robota.

– Dobry pilot, chciałeś powiedzieć.

– Tak, ale nie tylko. Dobre też przygotowanie.

– Hm, owszem, niezłe. – Ryler sam zaplanował całą operację i był bardzo zadowolony, że tak dobrze poszło. Ucieszył się także, że Zajac go chwali.

– Udało ci się, Wit. To, owszem, dobrze zrobiłeś. Dbasz o szczegóły.

– O szczegóły? – Ryler nieco się nastroszył.

– No, tak, o szczegóły. Tu nie było żadnego błędu, ale cała ta historia to błąd, wielki błąd!

Zajac, jak widać, również był zadowolony.

Ustawienie dwóch pozostałych przetworników też poszło bez przeszkód. Pozostało połączyć je ze stacją i wykonać niezbędne pomiary. Kable położyły automaty, ale pomiary musieli wykonać ludzie. Między innymi należało jak najdokładniej zmierzyć odległości pomiędzy niektórymi punktami przetworników. Ich obsługa jest prosta, pomiar wydawał się łatwy. Nie był jednak taki. Temperatura powietrza spadła do minus czterdziestu stopni i wiał wiatr. Wyniki pomiarów okazały się nonsensowne, a ich autorzy trafili w ręce doktora, aby wykurował ich odmrożenia. Dodatkowo okazało się, że dwa dalmierze znikły. Kto i gdzie je zgubił, pozostało tajemnicą.

Druga seria pomiarów dała już niezłe wyniki, a kilka następnych, wykonanych przy lepszej pogodzie – zupełnie zadowolające. Pozostały jeszcze do uzupełnienia najrozmaitsze szczegóły i jeden bardzo ważny punkt – program dla komputera stacji, mającego kierować doświadczeniem. Szkic programu był już dawno gotowy; należało go uzupełnić wynikami ostatnich pomiarów i rozpisać na kolejne rozkazy. Zostało to wykonane w centrum obliczeniowym, a teraz należało przekazać cały program do stacji i wczytać go w pamięć komputera.

\*

– Wit, wyniki przesłaliśmy, on tam opracował program, ale on jest na dole, a my tu. Jak go ściągniesz? Sankami, a może na nartach? – Zajac powiedział to z nutą drwiny, ale z rysów jego twarzy można było odczytać napięcie.

– E, nie – uśmiechnął się Ryler. – Starczy radio. To przecież najszybsze, najpewniejsze.

– Mam wątpliwości. A jak coś dodatkowo wlezie na antenę?

– Małp tu nie ma, a ciebie nie puszcę.

– Ja i tak nie będę tam wlaził, za wysoko.

– No, to co wlezie?

– Nie wiem. Żart – żartem, ale tak naprawdę... Uważasz, że nie będzie jakichś zakłóceń?

– Jakich? – zdziwił się Ryler. – Po pierwsze, częstotliwość jest zastrzeżona. Po drugie – łączność idzie kierunkowo, wiązka. A po trze-



cie – przecież tu nikogo nie ma, żadnej radio-stacji!

– Ale bywają burze.

– Zakłócenia burzowe są tak charakterystyczne, że komputer wykryje je od razu. A wtedy zażądamy powtórzenia od początku. Zresztą, teoretycznie jakieś przekłamanie zawsze jest możliwe, nawet przy wczytywaniu. Ale to praktycznie niemożliwe – kod jest niepodatny na zakłócenia...

– Prawie mnie przekonałeś – Zając pokiwał głową. – W końcu to twój projekt, nie mój...

– Bardzo żałuję jednego – rzekł Ryler po chwili – że nie możemy sprawdzić całości w mniejszej skali, przy niewielkiej energii.

– A no, nie. Tu jest jak w miłości: albo wszystko, albo nic... To co, gdzieś za tydzień będzie ten twój, hm, triumf?

– Jeżeli mówisz o doświadczeniu, to tak.

– Będą goście?

– Szef będzie na pewno, a może i inni.

– Szkoda. Im gości mniej, tym lepiej.

– Prawda. Ale cóż? Przecież ich nie wygonimy.

★

Termin doświadczenia zbliżał się, a należało jeszcze połączyć całą aparaturę w jeden system, sprawdzić jego działanie, zaprogramować komputer, naładować toroid energią i sprawdzić wszystko jeszcze raz.

Ryler, jako szef całego eksperymentu, kierował całością prac, a prócz tego witał przybywających gości – zarówno członków Rady Naukowej z przewodniczącym na czele, jak też VIP-ów\*, przedstawicieli najwyższych władz. Zając zajmował się komputerem – wczytał weń przesłany przez radio program, sprawdził go kilkakrotnie, aż uznał, że wszystko jest w porządku. Nad ładowaniem i stałym chłodzeniem toroidu czuwali inni, a następny zespół sprawdzał prawidłowość działania podzespołów i połączenia całości.

Prace biegly planowo i zgodnie z planem w przewidywanym terminie zakończono wszystko. Można było rozpocząć eksperyment.

Cała załoga stacji i przybyli goście zebrali się w głównym pomieszczeniu, przed ogromnym ekranem – z boku stał niewielki pulpit.

Ryler krótko i po prostu, choć bardzo uprzejmie, powitał gości, nie siląc się na uroczyste przemówienie. Nie znosił takich, jak to nazywał, wodospadów wyrażeń zerowych. Następnie zapytał:

– Można zaczynać?

Pytanie było zwrócone do delegata Zjednoczonego Rządu Świata.

– Tak, oczywiście. Tylko, drogi doktorze, może jeszcze jedno pytanie... Można?

– Ależ tak, proszę.

– Otóż, znamy zasady eksperymentu, ale jednego nie wiemy, jakoś ta wiadomość do nas nie dotarła. Co właściwie chcecie wziąć z przeszłości?

– Nie wiadomo panom? – zdumiał się Ryler. – Dlaczego? Przecież nie ukrywamy tego, była o tym mowa nieraz...

– Widać ktoś zapomniał o tej informacji, a może była zbyt oczywista, aby ją powtórzyć.

– Hm... nie wykluczone. Ale cóż, jeśli panom nie wiadomo, to zaraz to naprawimy. Chodzi nam o Wielką Kartę Pokoju.

Między gośćmi podniósł się gwar, posypały się pytania. Było to zrozumiałe, każdy przecież znał tę niewiarygodną, lecz prawdziwą historię. Wiele lat temu, po wielu dziesięcioleciach bezowocnych narad, konferencji, spotkań, rozmów oficjalnych i nieoficjalnych opracowano i ogłoszono dokument o zasadach całkowitego rozbrojenia, a tym samym zaprzestania wojen. A był już na to najwyższy czas. Ilość zgromadzonej broni o niewyobrażalnej wprost sile niszczenia była taka, że starczyłaby nie tylko do wygubienia całej ludzkości, ale do rozwalenia globu ziemskiego na strzępy.

Dokument, jak wiele innych podobnych, zapewne pozostałby na papierze. Ale równocześnie z nim ogłoszono ostrzeżenie, skierowane do całej ludzkości przez najwybitniejszych uczonych. Mówiło ono, co może nastąpić w razie ewentualnego konfliktu zbrojnego. Obydwa te dokumenty wywoływały tak olbrzymi odzew na całym świecie, że rządy i politycy musieli zaprzestać tracenia czasu i naprawdę wziąć się do działania. Oczywiście, były pro-

\* VIP – very important person – bardzo ważna osobistość



testy, nie wszyscy chcieli zmian. Ale żądanie rozbrojenia było tak silne, że niewiele mogli zrobić. Ludzie zrozumieli wreszcie, że nie ma innej drogi – albo powszechny pokój, albo zginą wszyscy. Toteż wicherzycieli uciszano szybko, a od władz żądano konkretnych posunięć. Dzięki temu w rekordowym czasie opracowano robocze dokumenty, dotyczące rozbrojenia. Natychmiast też zaczęto je realizować, po raz pierwszy w historii świata. Pod koniec tej akcji, po kilku latach, opracowano następny dokument, precyzujący nowe, międzynarodowe prawa w świecie bez broni – właśnie Wielką Kartę Pokoju, obowiązującą cały świat bez wyjątku. Przetłumaczona na wszystkie języki, była dostępna każdemu w każdym kraju. Ale oryginał zaginął w nie wyjaśnionych okolicznościach i nigdy nie udało się go odnaleźć.

A oto teraz Ryler i Zając chcieli po niego sięgnąć poprzez czas i przestrzeń, toteż poruszenie pomiędzy gośćmi było zupełnie zrozumiałe. Ryler długo nie mógł dojść do głosu, aż w końcu ucichło na tyle, że mógł to uczynić.

– Według kronik filmowych i z udziałem historyków wybraliśmy odpowiednią chwilę. Ten bezcenny dokument został podpisany przez wszystkie delegacje, po czym umieszczono go w skarbcu. Wiemy, że tam dotarł – i więcej go nikt nie widział. Otóż, chcemy sięgnąć do skarbcza, wziąć Wielką Kartę, skopiować i położyć z powrotem tam, gdzie była. W tamtym czasie powinno to potrwać możliwie krótko, tak aby nikt niczego nie zauważył, a tu, w naszych czasach – tyle, ile zechcemy. Jednak należy się spieszyć, bo czasoprzestrzeń będzie zwinięta, a na utrzymanie tego stanu też jest potrzebna dość znaczna energia. Miejmy nadzieję, że się nam to uda... bo powinno, ale nie jest to całkiem pewne. Wszystko gotowe, zaczniemy!

Zając usiadł za pulpitem, Ryler stanął obok.

– Blokada pierwsza!

– Zdjęta – mówiąc to, Zając zdjął plombę, zabezpieczającą wyłącznik i włączył go z lekim traskiem. Ekran rozjaśnił się, ukazując w zbliżeniu trzy przetworniki i stojącą pomiędzy nimi niewielką wieżyczkę z tępym wierzchołkiem.

– Blokada druga!

– Zdjęta.

– Pogotowie startowe!

Zając zerwał trzecią plombę i odsłonił niewielki, czerwony przycisk.

Ryler rozejrzał się po zgromadzonych.

– Myślę, że uruchomienie eksperymentu powinniśmy powierzyć jednemu z naszych miłych gości, potomkowi jednego z autorów Wielkiej Karty Pokoju, profesorowi prawa Karolowi Thirrie. Proszę, panie profesorze!

Profesor Thirrie, barczysty mężczyzna w si-le wieku, podszedł do pulpitu.

– To wielki zaszczyt! – powiedział. – Przyjmuję go, ale nie w swoim imieniu, lecz tych, którzy stworzyli Wielką Kartę – i tych, którzy ją urzeczywistnili.

Nacisnął przycisk.

Kilka sekund nic się nie działo. Nagle na ekranie i daleko za oknami, pomiędzy dyskami przetworników wzeszło drugie słońce, zagrało wszystkimi kolorami tęczy, zaświeciło oślepiającym fioletem i zgasło, zmieniając się w kłęb szarej, dygocącej mgły. Dygotanie ustało, mgła powoli zmieniała kształty, przeżyła się potwornymi kłębami, aż znieruchomiała, tworząc olbrzymią, regularną kulę. Spód kuli dotykał wieżyczki. Po chwili spod wieżyczki wyskoczył wózek-automat i popędził ku stacji. Niebawem wpadł do wnętrza, zakręcił, przez boczne wrota, które otwarły się przed nim, wjechał do głównej sali i zatrzymał się przed pulpitem.

Ryler podszedł do wózka, otworzył pokrywę, sięgnął do środka, wyjął niewielki przedmiot – i znieruchomiał. Patrzył, nie wierząc oczom.

Trzymał w rękę szarobiałą papier, niskiego gatunku, zadrukowany literami rozmaitej wielkości, czarnymi i czerwonymi, z wielkim czerwonym napisem „Express Wieczorny”.

\*

– I co dalej, Zen?

Zając nie odpowiedział od razu. Nalał kawy z ekspresu, stojącego na bocznym stoliku, i postawił filiżankę przed Rylerem. Drugą wziął sam i usiadł.



- Co robimy, Wit? Jasne. Wypij kawę, potem drugą, a potem weź się w garść - i do roboty.

- Do roboty? A co tu robić? Nic nie wyszło... Kompromitacja, powód do śmiechu, jeżeli nie gorzej...

- No, przesadzasz. Nie jest tak źle. Ale pij kawę, póki gorąca. A ja podsumuję. A więc: w przeszłość sięgnęliśmy, zatem metoda nie jest zła. Tak?

- Owszem, prawda.

- Sięgnęliśmy nie tam, gdzie trzeba. Miejsce inne, data inna. Trzeba ustalić dlaczego? Według mnie, to wina komputera. Albo programu. To właśnie trzeba sprawdzić.

- A co właściwie dostaliśmy? Co to jest to coś?

- Gazeta. Taka, jakie były wtedy.

- I co z nią?

- Nie odesłałem jej do przeszłości, nie opłaca się. Kosztowało to wtedy prawie tyle, co nic. Dałem Thirriemu na pamiątkę, był zachwycony. Ale skopiowałem, możesz sobie poczytać. Lektura pouczająca, miejscami zabawna, a miejscami przerażająca. Dzielni byli ci nasi przodkowie, że w takim świecie potrafili żyć, a co więcej, iść naprzód.

- To dobrze, że skopiowałeś. Może się przydać. Jest tam data?

- Jest. O, pięknie, zaczynasz być podobny do siebie. - Zając wstał, wziął filiżankę Rylera, nalał kawy jeszcze raz. - Masz drugą kawę, pij i do roboty! Ułożymy plan pracy dla innych i dla nas.

\*

Następnego dnia Zając gdzieś zniknął, Ryler nie mógł go znaleźć. Za to na swym biurku znalazł kopertę, zaadresowaną do siebie. Dziwne... Otworzył ją szybko. Zawierała kilka zapisanych kartek.

### **Wit, Mój Przyjacielu!**

*Piszę do Ciebie, bo najprawdopodobniej nie zobaczymy się więcej, a muszę Ci wyjaśnić parę spraw.*

*Nie wiem, od czego zacząć, więc zacznę od początku. Otóż, wiesz jak wszyscy, ile dobrze przyniosła Wielka Karta Pokoju. Zapres-*

*tano zbrojeń, ludzie odetchnęli, można było uregulować wiele nabrzmiałych problemów i zaprowadzić na świecie lepszy porządek. Ale cofnijmy się nieco, do chwili powstania Wielkiej Karty. Jeden z jej twórców, prawnik Pierre Thirrie, należał do wrogów nowego porządku. Udało mu się umieścić w Wielkiej Karcie kilka punktów, które nie powinny się tam znaleźć. Ale znalazły się... i odpowiednio interpretowane, posłużyły po pewnym czasie do przywrócenia dawnego stanu, w jeszcze gorszej postaci.*

*Uważasz, Wit, że bredzę? Niestety, nie, Ty tego nie wiesz, bo to z Twego punktu widzenia jeszcze nie zaszło, to dopiero będzie. Za to z mojego - zaszło. Bo widzisz, jestem znacznie młodszy od Ciebie. Urodziłem się w czasach, gdy zaczęto niweczyć wszystkie zmiany, wyniki z ducha Wielkiej Karty, opierając się na jej literze - zgodnie z punktami autorstwa tego łotra, Thirriego. Swoją drogą to był przebiegły lis - sprawdzano przecież tekst Karty niejednym raz i nikt niczego nie zauważył. To była dobra robota. Ale do rzeczy. Otóż, jednoczący się świat znów się rozpadł, wróciły dawne porządki, poparte dodatkowo rozwojem nauki i techniki. A więc zaczęło być jeszcze wiele gorzej, niż było dawniej, w dwudziestym wieku. Ale nie wszystko dobre, wyniki z Wielkiej Karty, zginęło. Zostali ludzie, porządni ludzie wielkiej wiedzy, widzący, co się dzieje. Postanowili przeciwdziałać. Jak? Rozważono wiele sposobów. Wybrano taki: cofnąć się w czasie i poprawić Wielką Kartę, usunąć z niej to wszystko, co wprowadził Thirrie. Wiesz doskonale, że to jest możliwe już obecnie, a więc w moich czasach tym bardziej.*

*Nie można było zrobić tego tak, jak Ty chciałeś; to znaczy nie było sposobu, żeby wziąć Wielką Kartę, zmienić, co należy, i zwrócić tam, gdzie była. Spiskowcy, bo tak ich należy nazwać, nie mieli dostępu do tak wielkiej energii, jaka byłaby potrzebna, ani nie dysponowali dostatecznie dokładną aparaturą kontrolną. To, co mogli zdobyć, wystarczało do przerzucenia w Twoje czasy kilku ludzi, bez możliwości powrotu. Możesz obliczyć, że na to trzeba energii o dwa rzędy mniej.*



Szkolono nas bardzo starannie. Historia, obyczaje panujące w Waszych czasach, noszone ubrania, język potoczny (nawet popularne przekleństwa!) i oczywiście wiadomości i umiejętności, potrzebne nam do wykonania zadania.

Konspiracja ma swoje prawa, jak Ci, być może, wiadomo. Rzecz wydała się przedwcześnie, musieliśmy ruszać w wielkim pośpiechu. Dwóch z nas zginęło, pozostali znaleźli się w Waszych czasach. Moi koledzy trafili dobrze i wykonali swoje zadanie – kopie Wielkiej Karty nie zawierają tego, czego tam nie powinno być. Ja trafiłem gorzej – o kilkanaście lat za późno. Ale mogłem jeszcze wykonać moje zadanie – dostać się do Wielkiej Karty. Trzeba było cofnąć się w czasie jeszcze raz. Dlatego zostałem fizykiem – temperalistą. Z tym, co umiałem, nie było to trudne. Dlatego też nawiązałem współpracę z Tobą.

Wścikasz się, Wit? Przeklinasz mnie? Twoje prawo, możesz. Ale czytaj dalej.

Zgodnie z tym, co udało się nam ustalić, można było zastosować dwa warianty: Wnieść poprawki do Wielkiej Karty – albo zniszczyć oryginał. Według naszych ustaleń drugi wariant byłby lepszy. Kopie, pozbawione kilku punktów, wykonałyby swoje zadanie, zmian zaszytych w świecie nie można by już cofnąć.

Ciągu dalszego już się domyślasz: to ja zmieniłem program dla komputera, tak aby wykonał dwa zadania po zwinięciu czasoprzestrzeni: wzięcie ze skarbca oryginału Wielkiej Karty i jakiegokolwiek innego pisanego dokumentu, czegokolwiek z innego miejsca i z jakiegokolwiek czasu. Udało mi się: do wózka trafiła gazeta, a Wielka Karta została w wieżyczce odbiorczej. W kilka godzin potem spaliłem ją.

Wit, zanim mnie osądzisz, nazwiesz zło dziejem i zanim zaczniesz cokolwiek robić, pomyśl trochę. Wiesz z historii, co robili ludzie z innymi ludźmi podczas wojen, podczas wojny światowej za czasów Twojego pradziadka i nieco później? Były to rzeczy potworne. Ale to, co się działo – z Twojego punktu widzenia, co się będzie działo, jeżeli tekst Wielkiej Karty pozostanie oryginalny – to będzie stokroć gorsze! Starożytnie piekło

wydaje się rajem przy tym, co wyprawiają – a raczej co będą wyprawiać ci wykształceni zbrodniarze, odzyskawszy władzę. Nie wolno mi podawać szczegółów i lepiej tego nie robić. Są rzeczy, których ludzie wiedzieć nie powinni.

Rozumiesz teraz, Wit, co właściwie zrobiłem. To, co – w moim przekonaniu – musiałem zrobić!

Doskonale wiem, że możesz sięgnąć w przeszłość jeszcze raz, wcześniej niż ja i przeszkodzić mi. Możesz na przykład zabrać Wielką Kartę ze stołu, po podpisaniu przez wszystkie delegacje. Ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Wiem, że tak będzie, no jesteś prawdziwym uczonym. Poznałem Cię dobrze, wiem, że mi uwierzysz.

Jestem więc spokojny, wykonałem, co miałem wykonać, moi koledzy także zrobili swoje. Co dalej? Zgodnie z założeniami, jeżeli wszystko pójdzie tak, jak trzeba, współcześni nam zabiorą nas stąd. I wrócimy do świata, może wspaniałego, ale zupełnie obcego dla nas! Zmieniłszy go przecież, więc będzie inny. Zapewne nie będzie naszych przyjaciół, znajomych, może nawet i nas nie będzie – przecież znasz, Wit, paradoks dziadka! No cóż, ktoś musiał to zrobić, a ja chyba najbardziej. Przy końcu listu zrozumiesz, dlaczego.

Pora kończyć, Wit, czas ucieka. Jeszcze parę słów. Pamiętaj, że nie udawałem przyjaźni. Zapewne robiłbym to, gdybym musiał. Ale nie musiałem – i dlatego bardzo mi przykro, nie potrafię tego wyrazić, jak bardzo... że zrobiłem Ci świństwo. Zrobiłem, co musiałem, wykradłem Wielką Kartę, ale Twoim kosztem. Tylko że ja zapłacę jeszcze drożej – może życiem, a może – co gorsze – samotnością. Odchodząc, tracę Cię tak, jakbyś umarł. A tam, w przyszłości, nie będę miał przyjaciół. I jeszcze jedno: nie mogę Ci powiedzieć, jaka będzie Twoja przyszłość (bo paradoks dziadka), ale podczas studiów uczyłem się dwóch praw Rylera. Twoich, Wit.

Zegnaj, Wit, zegnaj Przyjacielu.

Niech Ci słońce jasno świeci!

Zawsze Twój

Zen Zajac

albo Pierre Karol Thirrie, junior